

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



OGRODY WATYKAŃSKIE.

Skreślił **Edmund Jankowski.**

Od czasu zajęcia Rzymu przez wojska włoskie za Piusa IX i zrobienia z niego stolicy zjednoczonych Włoch, papież uważają się za więźniów w wiecznym mieście i nie przekraczają nigdy murów siedziby swojej — Watykanu.

Watykan, do którego wstępu strzegą wysokie mury i gwardye papieskie, może być uważany za więzienie dla tego że jest to przestrzeń zamknięta; wszelako rezydencya tu zajmuje obszar małego naszego folwarku, gdyż na naszą mia-

ę obejmuje około 10 włók. Stoją na tym gruncie: bazylika św. Piotra, głowa kościołów świata; ogromne pałace papieżów z nagromadzonemi w nich nieocenionemi skarbami dzieł sztuki, galeryami, bibliotekami i archiwami; mieszczą się budynki licznych biur papieskich i instytucyj uczonych, akademii propagandy i w. i.

Część tych piękności widzieć i podziwiać można, czego też nie pomija żaden z cudzoziemców; do niektórych wstęp jest zupełnie zamknięty, do niektórych nareszcie dozwolony za ledwie nielicznym śmiertelnikom.

Niemalą ciekawość pomiędzy ostatniemi budzą ogrody papieskie, opisywane zlekka przez pielgrzymów. Nie spotykaliśmy się jednak dotąd z opisem tych ogrodów, pochodzącym z pod pióra ogrodnika, aż niedawno wpadł nam w ręce artykuł Karola Sprengera, osobiście znajomego nam ogrodnika Niemca, osiadłego stale pod Neapolem, gdzieśmy z nim znajomość zawarli. Sprenger opisał ogrody watykańskie w gazecie berlińskiej „Gartenwelt”. Streszczenie tego opisu podajemy, dla wiadomości miłych czytelników „Wieczorów Rodzinnych.”

Wokoło murów Watykanu od strony wewnętrznej ciągną się drzewa pomarańczowe, a gorejące od słońca ścieżki prowadzą na prawo po raptownej pochyłości do ogrodu szpalerowego, założonego jak wersalski, ze zbiornikami wody, fontannami, arabeskami, nielicznemi cyprysami i palmami.

Mnóstwo cytryn i pomarańcz w kubbach stoi na podstavach, wśród grząd obramowanych bukszpanem i lawendą, grząd pełnych pospolitych kwiatów, jak: goździki, werbeny, fiołki i róże. Pomiędzy niemi tu i owdzie agawy i eukaliptusy. Całość tę spokojną, gorącą i przepojoną słońcem, na lato zupełnie niemożliwą, otacza wysoki mur. W zimie za to, można tu najłatwiej znaleźć ciszę, światło i ciepło.

Powyżej tego ogrodu wędrowiec widzi dopiero cały przepych ogrodów papieskich i podziwia słynne z nich widoki na Rzym. Są te ogrody potrójne.

Naprzód tedy stary ogród czasów dawno minionych, to las laurów i dębów, posągów i starożytności; dalej idą nowoczesny park i plantacje ostatnich papieżów, a wreszcie ogrody owocowe i winnice.

Wysoko wznoszą się laury i nieroniające liści dęby w średniowiecznym parku. Tworzą one wyniosłe, a dla promieni światła nieprzenikliwe sklepienie z liści i koron; przebiegają po wzgórzach i dolinach, poprzerzynane pięknemi, mchem porośłemi krętymi ścieżkami; tu i owdzie ustawione kamienne ławy i sarkofagi, zapraszają do wypoczynku. Obeliski, urny, kolumny, starożytne posągi, osobliwe grobowce, których tu wszędy pełno, zdają się, nieme świadki minionych czasów, marzyć cicho o ich zamierzchłej wielkości. Pokrywa je pył wieków, mchy i porosty porośły na ich stopach i podstawach, a jednak wzbudzają one i dziś w widzu toż samo poszanowanie, wesołość lub smutek, odpowiednio do tego, co przedstawiają, jak wzniecały temu lat tysiąc. Śliczna też jest roślinność w tych dębowych gajach: barwinek i bluszcz, cała gromada cienistych roślin leśnych, mchy i porosty, stanowią zielone tło dla olbrzymów, które się nad niemi wznoszą i zmrok na nie rzucają. Na wiosnę fioletowe i czerwone gduły (*Cyclamen*), barwią tysiącami kwiatów leśną podłogę, a mruczące źródelka i strumyki, zarówno jak roje wesołych ptasząt, ożywiają ten majestatyczny zakątek.

Pełne kwiatów ogrody o rozkosznych skupinach drzew, wspaniałe solitery, drzewa pojedyncze, cieniste świerki i kwia-

ty, a kwiaty bez końca, ograniczają ten starożytny raj, a zwiedzającemu wydaje się, że nagle z ogrodów Augusta Cezara przeniósł się do angielskiego parku. Co krok napotyka podzwrotnikowe, zamorskie lub swojskie drzewa i rośliny, któremi zdobią się zwykle ogrody włoskie. Niezrównanej piękności cedrowe gaje, sosny parasolowe, (pinie), wiecznie zielone gaiki z laurów, laurowiśni, magnolii, kwitnących oleandrów i t. p., niewiadomo co bardziej podziwiać, tu zdumiewa las najeżonych drzew iglastych, tam grupy olbrzymich aleosów meksykańskich (*Agave*), lub skupiny delikatnych akacyi (*Acacia Julibrissin*).

Tu kwitną kręple (*Yucca*) wiechami wspaniałych, białych, wielkich kwiatów, tam piętrzą się smokowce i daktyłowce. A ponad temi drzewami wznosi się potężny Watykan i ponad wszystkim górująca kopuła św. Piotra.

Po przez grupy drzew, usiane willami i ogrodami, ukazują się w dali wzgórza Rzymu, tworząc widok jedyny w świecie. Nad głową bujają motyle, wśród gajów przemykają się strusie, sarny, jelenie i wreszcie liczne rzadkie ptaki, bo tu Ojciec Święty zaczął świat, tworząc wokół siebie taką piękną przyrodę, że innej może nie pragnąć. Wszędzie rozsiane kwiaty roznoszą w spokoju cudne swe wonie, rzadko bowiem niepokoi je stopa pielgrzyma, w tem tajemniczym zaciszu.

Zadziwiająco piękne grochowniki (*Robinia Pseudacacia monophylla*), tworzą tu aleje, którym równe tylko we Florencji widzieć można. Ich owalne, jajkowane korony, na wiosnę okrywają się milionami pachnących różowych kwiatów, wyprzedzających ukazanie się liści.

W zachwycającym gaju cedrowym, w zupełnym ukryciu, polecił Leon XIII postawić swój pawilon, w którym po przechadzce odpoczywa i oddaje się w samotności rozmyślaniom. Wynikiem tych dumań są pełne mądrości odezwy do narodów lub biskupów (encykliki), albo wzorową łaciną pisane, ku niebu bijące sonety i hymny. Umeblowanie w tej samotni bardzo jest skromne, a opony w oknach ze zwykłego zielonego sukna zrobione.

Radością papieża są jego winnice, których zakładaniem sam kierował. Są one urządzone i prowadzone wzorowo, biją też zdrowiem, a łoży uginają się pod jagodami. Zadziwiająco piękne stożki drzew owocowych i czysto utrzymany ogród warzywny, dopełniają całości, stanowiącej prawdziwą ozdobę Rzymu.

Szkoda, że tak niedostępnej.

W OTCHŁANIACH MORSKICH *)

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

Wielkie wyprawy naukowe.

Do najważniejszych zdobyczy naukowych naszego stulecia zaliczyć należy zbadanie głębin morskich oraz poznanie żyjących w nich mieszkańców. Przez długi czas znaną była ludziom jedynie fauna pobrzeżna oraz poczęści fauna pelu-

*) Praca ta jest dalszą seryą artykułów naszej uczonej przyrodniczki o florze i faunie morskiej, drukowanych w *Wieczorach* w 1896 i 1897 r.

giczna, a pojęcie o głębiach morskich opierało się głównie na domysłach. Niektórzy uczeni przypuszczali nawet niedługo, że ocean zupełnie dna niema; późniejsi uczeni, za pomocą rozmaitych obliczeń, usiłowali wykryć, jaką głębokość posiadać mógłby ocean. Ale owe liczby doprowadziły do wniosków nader sprzecznych i tak: według jednych największe głębie morskie miały po kilkaset metrów, według innych głębokość wielkich otchłani morskich wynosić miała około 25 wiorst. Oczywiście było rzeczą, iż aby poznać dokładnie głębokość rozmaitych mórz, należało je wymierzyć. Tak też właśnie uczyniono w drugiej połowie naszego stulecia, a jakim sposobem uczeni dokonali tak wielkiego dzieła, o tem dowiedzie się później, młodsi czytelnicy. Tu zaś powiemy wam tylko w krótkości, jaką jest rzeczywista głębokość rozmaitych mórz.

Najwięcej znaleziono głębin, mających od 3,000 do 6,000 metrów, lecz są przepaście oceaniczne jeszcze głębsze, mają bowiem około 9,000 metrów (przeszło osiem wiorst). Jestto godne uwagi, że najpotężniejsze głębiny morskie mają takież prawie wymiary, jak najwyższe szczyty gór na naszej kuli. Największa, dotychczas znana głębokość oceanów, znajduje się w północno-zachodnim Pacyfiku. Głębokość ta, *Głębia Tuskarory*, na cześć znanego amerykańskiego okrętu nazwana, wynosi 8,515 metrów, ustępuje nieco wysokości górze Gaurysankar, najwyższej na ziemi. Druga wielka głębokość znajduje się w południowym Pacyfiku, na wschód od wysp Maryańskich, jestto *Głębia Challenger*, mająca 8,300 metrów.

W oceanie Atlantyckim największe głębiny czynią 7,000 metrów, a w morzu Śródziemnym są one jeszcze mniejsze, gdyż wynoszą 4,000 metrów.

Gdy się przekonano, że ocean sięga tak daleko w głąb skorupy ziemskiej, to zadawano sobie pytanie, czy w owych głębiach mieszkają jakie żywe istoty? Ale gdy rozważono, że do tych przepaści nigdy nie przenika żaden promień słońca, że woda tam jest lodowato-zimna, a ciśnienie wody niesłychanie wielkie, to zawyrokowano, że przy takich niesprzyjających warunkach żadne stworzenie żyć nie jest zdolne, że zatem głębie morskie są to wielkie pustynie wodne, nie zawierające ani śladów życia. Wierzone wtedy, że w oceanie życie możliwem jest jedynie na powierzchni oraz u wybrzeży i utrzymywano, że zwierzęta stają się coraz rzadsze w miarę zwiększania się głębin, aż wreszcie znikają zupełnie poniżej 400 metrów. Na tej głębokości znajdować się miał kres, czyli, jak wówczas mówiono, znajdowało się *zero życia zwierzęcego*.

Do ustalenia powyższych zapatrywań przyczynił się głównie angielski przyrodnik Forbes. On pierwszy przedsięwziął w 1841 roku badanie fauny głębinowej na morzu Śródziemnym, a ponieważ głębiny tego morza okazały się nader ubogimi w zwierzęta, ze spostrzeżeń tych przeto Forbes wyprowadził mylny wniosek, że wszystkie wielkie głębiny morskie nie zawierają żadnych żywych stworzeń.

Jednakże w owym czasie istniały już niejaki wiadomości o zwierzętach głębinowych. W pierwszej połowie naszego stulecia (w 1819 roku) znakomity podróżnik angielski, kapitan John Ross, biorąc pomiary w północnym oceanie Lodowatym, wydobyl z głębin robaki i gwiazdy morskie, które żyły na głębokości 1,500 i 1,800 metrów. Dalej siostrzeniec jego, James Clarke Ross, dokonał podobnych odkryć w oceanie Lodowatym południowym; a Goodsir zdobył piękny podow zwierząt na morzu Baffina, na głębokości 60 metrów. Wreszcie w Stanach Zjednoczonych oficer marynarki Brooke wynalazł specjalny przyrząd, za pomocą którego wydobyl nieco mułu z dna Atlantyku, zagłębionego na 2,000 metrów. Muł ten składał się przeważnie ze skorupki mikroskopijnych zwierzątek, zwanych otwornicami, oraz z radyolaryi o pięknym szkielecie krzemionkowym.

Ale przesady o pustyniach wodnych i o *zerze życia zwierzęcego* tak głęboko zakorzeniły się w umysłach ludzkich, że tych pojedynczych odkryć nie chciano brać pod uwagę; wierzone raczej, że stała się jakaś pomyłka, że owe zwierzęta

pochodzą nie z głębin morskich, lecz z górnych warstw wodnych.

W 1860 roku doktor Wallich na okręcie *Bull-Dog* odbył podróż do Grenlandyi i Newfundlandyi, wszędzie badał dno oceanu i opisał następnie znalezione na dnie zwierzęta. Od tego czasu dopiero datują się pierwsze wyraźne wiadomości o *faunie głębinowej*.

Jednocześnie prawie z ukazaniem się powyższej pracy, stał się fakt niezmiernie ważny w historii odkryć podmorskich, a który był zarazem wymownym potwierdzeniem słów doktora Wallicha. W telegrafie podmorskim, łączącym Sardinie z Algeryą, przerwała się lina, leżąca na głębokości 2,000 do 2,800 metrów. Aby naprawić ten przykry wypadek, trzeba było podnieść linę telegraficzną, przyczem kawałki jej urwały się i zostały w ręku robotników. Jakież było zdziwienie widzów, gdy ujrzeli, że lina okryta była rozmaitemi zwierzętami jeszcze żyjącymi. Kawałki tej liny wraz z przyczepionemi do niej zwierzętami starannie zakonserwowano w spirytusie i powierzono zbadanie zwierząt znakomitego przyrodnikowi A. Milne-Edwardsowi. Uczony ten stwierdził niebawem, iż zwierzęta osiadłe na linie istotnie od urodzenia żyły w owych wielkich głębiach. Był to oczywisty dowód, że dno morza nie jest pustynią, jak dotychczas myślano, a chociaż znaleziono na linie jedynie zwierzęta niższe, prowadzące żywot osiadły, odkrycie to jednak zadało ostateczny cios pojęciom, wygłaszanym przez Forbesa, a zarazem wywarło wielki wpływ na świat uczonych i dało popoch do nowych badań.

(d. c. n.)

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Zaledwie jednak siniora Alenini przestąpiła próg przybocznej komnaty, rozległ się głos dziecięcy.

— Duch, duch!

Siniora usłyszawszy ten głos, rzuciła się w stronę skąd pochodził i pochwyliła broniącą jej się z całej siły Anusie.

— *Bene mio!* odebrali cię, ja cię nie dam, wezmę, nie oddam, wezmę, giauro, nie dam, anima mia!

— Ratujcie! duch mnie złapał — wołał cieniutki głos Anulki, owijanej przez siniorę podą olbrzymiej pierzyny.

— Anusiu, co ci się stało? — pytała zatrwożona Jadowsia, która zbudziwszy się później, nie wiedziała co się dzieje i wśród ciemności nie mogła zmiarkować czy głos ten odzywa się z tej samej czy też z przyległej komnaty.

— Jejmość, jejmość ochmistrzyni! jejmość Antonio-wo! — wołała więc dziewczeczka cała wystraszona.

Lecz jejmości Antoniowej nie było. I jej dano znać, że coś się stało królewiczowi, że na pańskiej stronie, to jest tam gdzie królewicz spoczywał, wszyscy już na nogach, a każdy spieszy mu na pomoc.

— Pewnie zachorował niebożatko! — szepnęła do służki pani Antoniowa.

I odziewszy się pospiesznie, wyszła, nie domykając drzwi za sobą, ażeby mu jakie leki przyrządzić.

Anusia, ocknąwszy się zaraz po wyjściu służki, nasłuchiwała pilnie całej rozmowy, a gdy ochmistrzyni się oddaliła, skorzystała z jej nieobecności i wstawszy z łóżeczka z właściwą sobie ciekawością wychyliła się przez drzwi otwarte, w chwili właśnie, gdy siniora wychodziła z przeciwnej komnaty.

— Co się dzieje! — zawołała przestraszona pani Antoniowa, która zapomniawszy klucza od apteczki, wracała po takowy, przyświecając sobie olejnym kagankiem.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — krzyknęła, zobaczywszy białą postać.

Wkrótce jednak przysła do siebie, ujrzawszy wychylającą się z pod fałdów pierzyny głowę siniory Aleniny, a tuż przy niej wyrwijącą się z silnych jej objęć Anusię.

— Poco jejmość zbudziła mi dziecko? — zawołała pani Antoniowa, usiłując oswobodzić dziewczynkę.

— To moje dziecko, królewskie dziecko, królowa je dała, chcieli odebrać, ono chore, Sigismundo przyjsć do mnie! mówiła siniora coraz więcej głoś podnosząc i coraz silniej przyciskając wyleknioną Anusię.

— Co jejmość mówi, toć to nie Sigismundo, jeno Anusia — rzekła pani Antoniowa, przyświecając kagankiem.

— Ja się nie boję nawet po ciemku! — odrzekł na wpół śpiący młodzieńczyk.

I odwróciwszy się na drugą stronę chciał zasnąć.

Kazik powstał chwilkę i miał się już wysunąć, gdy Zygmunt nagle zawołał:

— Niedźwiedziu!

— Do usług jego królewiczowskiej mości! — rzekł, wracając Kazik.

— A czemu ty nie śpisz? czy ty nigdy nie sypiasz?

— Trzymamy straż przy drzwiach jego królewiczowskiej mości — odparł po chwili wahania Kazik.

— Jakiś ty dobry.

Gdy zaś Kazik chciał odchodzić, królewicz znów się odezwał:

— Ja się nie boję, wcale się nie boję, ale zostań, dopóki ochmistrz nie przyjdzie.



Złodziej palmowy.

— Ach! — krzyknęła siniora i wypuściła z objęć swoich drżącą ze strachu dziewczynkę.

— Dove Sigismundo? gdzie królewicz! — pytała siniora biegnąc po komnacie i włócząc za sobą ogromną pierzynę.

— Ukradli go, zamienili, dali tę dziewczynę! — wołała w ojczystym swym języku, a usłyszawszy jakieś głośnie wybiegła z krzykiem, przelatując kilka ciemnych prawie komnat. A służba rozbudzona szła za nią, wołając:

— Rozum straciła! oszalała! co za nieszczęście!

Wreszcie siniora dotarła do wielkiej, oświetlonej buchającym z komina ogniem komnaty, stanęła jak wryta.

Przed chwilą bowiem królewicz zbudzony gwarem i szeptaniem, zawołał:

— Mości ochmistrzu, czy to już dzień!

— Że zaś ochmistrza już nie było, Kazik usłyszawszy wołanie wszedł cichutko do sypialni, a stanąwszy z nocną olejną lampką tuż przy drzwiach, rzekł:

— Ochmistrz waszej królewiczowskiej mości wyszedł, ale my stoimy na straży, niech się wasza królewiczowska mość nie boi.

Kazik chociaż niechętnie pozostał jednak.

Chodziło mu bowiem, iż gdyby był napad na królewicza, trzej jego krewniacy jako młodszy od niego, nie daliby sobie rady z nieprzyjacielem, łaska więc królewicza wcale mu w tej chwili nie była na rękę.

Nie chciał jednak straszyć maleńkiego swego pana i nie nie mówił.

Po paru minutach, Jędrus uchylił nieco zasłony.

— Co ty tam robisz, czy mu się co stało? — szepnęła ledwie dosłyszczanym głosem.

— Nic się nie stało, lecz kazał pozostać!

— Czy ochmistrz powrócił? — ozwał się królewicz, dosłyszawszy rozmowę.

— Nie, najjaśniejszy królewiczu — odparł Kazik nieco zakłopotany, że tym szeptem zbudził gościa.

— A kto to?

— Jędrus się pytał, czy jego królewiczowskiej mości czego nie potrzeba.

— To jest i Jędrus?

— A jakże...

— A może Anusia i Jadwisia, siadając na łóżku, pytał królewicz.

— O nie, kasztelanki śpią.

— A kto tam jest jeszcze? — pytał coraz więcej rozbudzony Zygmunt.

— Marcin i Piotruś...

— To i ja tam pójdę.

— To mówiąc wyskoczył z łóżka.

— Niech jego królewiczowska mość chociaż się odzieje — rzekł Kazik.



uszykował rzędem trzech kasztelaniców, na przodzie postawił królewicza i począł komendę.

— Raz, dwa, trzy!

Nie można się więc dziwić, że siniora Alenini, która weszła na tę chwilę stanęła jak wryta.

— Ha, ha, ha! — rozśmiał się królewicz, ujrawszy jej niezwykle okrycie.

— Bene mio! — zawołała ochmistrzyni, podbiegając i chwytając w objęcia Zygmunta.

— Sinioro, nie przeszkadzaj nam się bawić! — wołał, wyrrywając się z jej ramion królewicz.

Ale siniora zaczęła szybko mówić po włosku:

— Co ci się stało, skarbie mój! oderwali cię odemnie! chcieli porwać!

— Sinioro, pozwól mi się zabawić, jak wrócę, będę się znów nudził, tutaj tak wesoło! — prosił Zygmunt.

W tej chwili wszedł pan Piotr Opaliński, a siniora ujrawszy go, okręciła się pierzyną i z wielkim krzykiem ku uciesze nie tylko królewicza, lecz i jego towarzyszy, z komnaty uciekla.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał ochmistrz, nie mogąc również powstrzymać uśmiechu.

K l e w a ń .

— My bawiliśmy się w żołnierzy, siniora wbiegła, chciała mi przeszkodzić, ha, ha, ha! — wołał, śmiejąc się królewicz.

— Czy niema żadnego niebezpieczeństwa? — zapytał pocichu Kazik ochmistrza.

— Najmniejszego!

Kazik widząc spokój ochmistrza, nie wątpił, że nie zagroza królewiczowi; cieszył się, że jego przyszły pan nie będzie na szwank narażony, mimo to myślał sobie:

— A jednak byłbym dowiódł, że go umiem bronić!

— Myśmy przyszli bronić jego królewiczowską mość — ozwał się butnie Jędrus.

— Nie damy go! — dorzucił Piotruś.

— Może trzeba wyjść na podsienie, by tutaj nikogo nie wpuścić! — pytał po cichu Marcin, któremu się zdawało, iż pan Opaliński, nie chce mówić o owych strasznych ludziach i smokach przy królewiczu, ażeby go nie straszyc.

— Nie, nie, nie nam nie grozi! — uspokoił ich ochmistrz. I zaraz dodał:

—Dzielne i poczciwe z was chłopaki, na teraz uspokój-

— Aha prawda.

I przy pomocy Kazika narzucił na siebie ranny kożuszek, wsunął nogi w ciepłe żółte trzewiki i wybiegł szybko z komnaty.

— Oh! to wy się dobrze bawicie! — zawołał, ujrawszy uzbrojonych kasztelaniców.

— Czemuście mi nie powiedzieli, i jabyem się z wami zabawił! ale nie mam szabelki!

— Ja oddam swoje — rzekł Piotruś, podając mu szabelkę.

— Dziękuję, a teraz będziemy się bawić w żołnierzy — rzekł Zygmunt — ja będę dowódcą... albo nie, Niedźwiedź będzie dowódcą, będzie mnie uczył bronią wywijać.

Piotruś w miejsce ustąpionej szabelki, pochwycił kostur do poprawiania ognia w kominie, Kazik posłuszny rozkazowi,

nie się, zapamiętajcie tylko, aby w razie potrzeby z taką samą gotowością stanąć przy jego królewiczowskiej mości.

— Oho! — zawołali wszyscy jak na komendę i podnieśli ręce do góry.

— A co to? — zapytał Zygmunt dosyć zdziwiony, do którego uszu nie doszły dotąd żadne wieści.

— Jejmość królowa matka przysłała gońce, ażeby niezwłocznie wracać! — odparł ochmistrz.

— Jakto, nie pojedziemy dalej?

— Nie, natychmiast trzeba się szykować do powrotu

— Zostańmy jeszcze tutaj — prosił królewicz — pojedziemy jutro!

— Nie, wyjedziemy zaraz, trzeba się ubierać — odrzekł ochmistrz.

I skinął, ażeby zawołano pokojowca, który był dodany do obsługi królewicza.

Tymczasem Basaty zdołał się już porozumieć z siniorą Aleniną, a ta ubrawszy się jako tako, wbiegła rozradowana, wołając:

— Wracać zaraz, la madre kazać, zaraz ubierać!

I zbliżywszy się do królewicza chciała go wziąć za rękę.

Lecz Zygmunt usunął się i rzekł podnosząc głowę.

— Nie jestem już dzieckiem, jestem pod opieką ochmistrza, pokojowiec mnie ubierze!

Siniora coś bardzo głośno i bardzo prędko poczęła mówić, znać, że się gniewała, chciała nawet płakać, lecz w tem nagle krzyknęła:

Około niej bowiem uwijało się maleńkie, kudłate, w czerwonej zapeczce stworzonko i naśladowało jej ruchy, a w końcu wskoczywszy jej na plecy z dziwnie śmieszoną miną przechylało się i zaglądało jej w oczy.

Razem bowiem z siniorą wsunął się Ciemnos, a spełniając rozkaz królowej „ażeby zabrać królewicza”, wypuścił małpkę, która uwolniona z ciepłego kożucha, poczęła teraz wyprawiać rozmaite skoki, przedrzeźniając zarazem rozgniewaną siniorę.

Zygmunt ujrawszy małpkę, tupał nogami, podskakiwał i śmiał się z całą dziecięcą swobodą, kasztelanice, zaś a nawet Kazik, jakkolwiek bawiły ich skoki zabawnego stworzonka, spoglądali nań z pewną nieufnością, a Kazik myślał sobie:

— Czy aby naprawdę nie jest to owo „złe” które nasłali na królewicza?

— Bartholo! — awołał Ciemnos i ukłoniwszy się do samej ziemi, wskazał królewicza.

Małpka zeskoczyła z ramion siniora, przypatrzyła się Ciemnosowi, który zginał się w pokłonach do ziemi. Na dany znak stanęła przed Zygmuntem i kubek w kubek powtarzała też same ruchy.

Królewicz śmiał się i wyciągnął ku niej rękę, zręczne stworzonko wskoczyło mu na piersi, a Kazik obawiając się, żeby się królewiczowi jaka krzywda nie stała, przewycięzył wstręt swój a nawet i bojaźń, do kudłatego, jak mniemał dyabła, i przeżegnawszy się, stanął za jego plecami!

Małpka ujrawszy jego ruch ręką, usiłowała toż samo wykonać, lecz nie szło jej jakoś, położyła tylko łapę na twarzy Zygmunta.

— Pfu! — otrząsnął się królewicz, przechylając w tył głowę.

Jednocześnie Kazik pochwycił za kark małpkę, która nie spodziewając się takiego napadu, wrzasnęła przeraźliwie a potem zwinawszy się w kłębek piszczała tak przejmującym głosem, że obecni aż sobie aszy pozatykali.

W tejże chwili przystąpił Ciemnos i chciał odebrać małpkę z rąk Kazika, mówiąc przyciszonym głosem:

— Oddaj, ty młokosie.

Obrażony tem odezwaniem się chłopiec, wyprostował się, spojrzął na napastnika, a nie puszczaając z prawej ręki kwilącej małpki, zacisnął lewą i spojrzawszy śmiało w oczy olbrzymowi zawołał:

— Ty czorci synu, co masz za prawo mnie napastować?

I Bóg wie, do czego by przyszło, gdyby nie pan Opaliński, który stanawszy pomiędzy nimi, rzekł łagodnym swym głosem:

— Oddaj mu małpkę i w obecności królewicza nie rób burdy.

Kazik w tej chwili puścił kudłate stworzonko, które uwolnione z jego rąk, nie dało się pochwycić Ciemnosowi, lecz plunawszy tylko, poczęło się wykrzywiać na Kazika i wykręcać się przed nim ze złością, zamiatając ogonem.

Wszyscy śmieli się z tych nowych figlów, trącąc się łokciami:

— To małpka, aha, więc to nie złe, jeno małpka!

Tylko Kazik stał zawstydzony i myślał sobie:

— Ho, ho, chcąc być dworakiem, trzeba dużo się jeszcze nauczyć, aby wiedzieć, gdzie uderzyć, a na śmieszność się nie narazić.

(d. c. n.)

ZŁODZIEJ PALMOWY.

Osobliwy jest gatunek raka, przedstawionego na dołączonej rycinie, którego ojczyzną są wyspy oceanu Indyjskiego. Mieszkańcy nadali mu nazwę palmowego złodzieja, gdyż lubi się głównie żywić orzechami kokosowymi. Skorupiak ten wielkością swoją zbliżony do homara, podczas dnia chowa się w norach ziemnych, a w nocy wędruje pod palmy, gdzie szuka spadłych z drzewa orzechów. Gdy znajdzie jaki skrobie cęgami swemi łupinę, póki w niej nie przebije trzech dziurek, w ten sposób chwyta owoc i póty tłuczonego o ziemię lub drzewo, aż z rozbitej skorupy wydobyć może jądro galaretowe, białego koloru. Krajowcy utrzymują, że rak ten umie nawet wchodzić na drzewo palmowe po wiszące na niem orzechy, ale fakt powyższy nie był dotąd przez wiarogodnych świadków sprawdzony. Mięso owych złodziei palmowych jest bardzo smaczne i stanowi ulubioną potrawę Chińczyków. W tym celu utrzymują oni sztuczną hodowlę tego gatunku raków, żywiących się orzechami kokosowymi.

KLEWAŃ.

Trudno sobie wyobrazić, aby nędzne dzisiaj miasteczko Klewań mogło być niegdyś rezydencją zamożnego rodu Czartoryskich, których groby znajdują się w podziemiach fundowanego przez nich kościoła. Zamek tylko, przed trzema wiekami zbudowany, w dobrym stanie dotąd się trzyma.

Spustoszone w czasie wojen w XVII wieku, zupełnemu zniszczeniu uległo w czasie napadów Tatarskich; tak że tylko zamek wówczas ocalał.

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

— Mnie się zdaje, że onaby mnie wybiła, gdyby kiedy rozgniewała się na mnie — powiedziała raz Joasia z niesmakiem do Ludwini.

Ludwinia się uśmiechnęła.

— O! nie — odpowiedziała z żywością — to dobra dziewczyna, tylko trochę wichrowata i rozrzuciona.

Nazajutrz o świcie Janek taki szturm przypuścił do okiennicy, że mógłby obudzić dotkniętego snem kamiennym, to też obie dziewczynki, Joasia i Zosia, zerwały się na równe nogi, pytając:

— Co to? co się stało?

— A no, nie wiecie? — wołał Janek — nasza wczoraj umówiona wycieczka. Chcecie czy nie chcecie pójść zobaczyć wschodzące słońce?

Joasię to nagle przebudzenie tak wytrzeźwiło, iż od razu sen ją odbiegł.

— A czy to nie za rano? — spytała, widząc, że zaledwie szarzeć zaczyna.

— Nie, nie — wołał głos za oknem. — Karol już przybiegł z uwiadomieniem, że tam, na Polance, już się ruszają.

— Dobrze, dobrze, i my się wybieremy niedługo.

Dziewczynki zaczęły się ubierać. Zosia była ze wszystkim gotowa w przeciągu dwudziestu minut, ale Joasia nieprzywykła do ubierania się bez pomocy, pomimo pospiechu nie mogła jej wydażyć. Widząc, jak chcąc się uczesać płacze i szarpię włosy, Zosia wyjęła jej grzebień z ręki.

— Pozwól, ja ci pomogę — powiedziała łagodnie.

Przy jej pomocy Joasia była prędko gotową, a ten pospiech, ta krzątanina, to bieganie na wyścigi, ubawiły ją niezmiernie, to też wesoło dziękowała Zosi za jej pomoc.

— Weź ciepleszy płaszczyk Joasiu, gdy ci później będzie za gorąco, zdejmiesz go, teraz jest dosyć chłodno, dopóki słońce nie ogrzeje ziemi — powiedziała Zosia i wyjęła z szafy ciepleszą okrywkę dla swojej towarzyszki.

Narzuciły na głowy lekkie chusteczki, wzięły zarzutki i wyszły na ganek, gdzie już na nie oczekiwał Staś z młodszym bratem.

Na świecie szarzał ten mętnawy zmrok, właściwy zarówno początkowi jak przy końcu dnia, a w mroku tym wszystkie przedmioty przybierały jakąś niewyraźną, tajemniczą postać: drzewa, okalające dziedziniec i odznaczające się długim sznurem ponad drogą, las położony za stawem i młyn od strony ługów.

Za sztachetami ukazał się Henryk i Karol.

— Już wszyscy gotowi, idziecie panie? — wołali.

Wszyscy czworo zbiegli rażno z ganku i przebywszy dziedziniec, połączyli się z towarzyszami. Razem szli ku osadzie. Przed domkiem, gdzie mieszkali rodzice Stasi, stała spora gromadka.

— Chodźmy! chodźmy! — zaczęto wołać.

— Co? i Ludwinia idzie z nami! — zawołała z radością Zosia.

— A jakże! — odrzekła tamta wesoło i ucałowała Zosię na dzień dobry.

— Dzień dobry, panno Joanno! — mówiła, wyciągając rękę do Joasi. — Nie myślałam, że pani wstanie tak wcześnie.

— I bardzo się cieszę, że mi się to udało — odpowiedziała Joasia swobodnie.

Na świecie robiło się coraz widniej, Cała gromadka ruszyła drogą w stronę wsi, sąsiadującej z Polanką.

— Ale którą i dokąd się udamy? — zawołała Stasia.

Tu Zygmunt wysunął się naprzód i odezwał się głosem poważnym:

— Proszę za mną, ja państwa poprowadzę.

— Bardzo dobrze, ale racz pan dobrodziej określić kierunek błędnej ścieżki, którą mamy za nim postępować, abyśmy mniej więcej wiedzieli dokąd ona nas zawiedzie — odezwał się Karol, wesoły chłopak i wielki figlarz.

— Pójdziemy w kierunku młyna, a później wrócimy łakami od strony Woli Dąbrowskiej.

— Stój! szlachetny młodzieńcze! Nie tędy droga. Zakładam najuroczystsze *velo* przeciwko twemu wnioskowi. Gdybyśmy poszli jak nas chcesz prowadzić, niejedyn z nas wróciłby w niemożliwym stanie ubrania swego, bo tam właśnie, od strony Woli Dąbrowskiej, leżą niebezpieczne oparzeliska. Ale może pan nie wie co to znaczy? Oparzeliska, widzi pan, to są bagna, pokryte zdradliwie zieloną powłoką mura- wy, która ugina się pod nogami. Raz tylko przerwij stopą

tę cienką powłokę, a ulgniesz w bagnie niekiedy po szyję. I bywają, widzi pan, wypadki, że konie znajdują śmierć w takiej kąpieli.

Wszyscy zaczęli się śmiać z tłumaczenia Karola i oddawanego Zygmuntowi tytułu pana.

— Więc którądy pójdziemy? — wołały dziewczynki.

— Niech Stasię prowadzi, on tu gospodarzem — zawyrokował Karol.

— Dobrze — odrzekł Staś z uśmiechem — idźmy od strony lasu pod wiatraki.

— Pyszny projekt! ja pierwszy głosuję za nim.

— I ja! i ja! — wołali chłopcy.

Cała gromadka ruszyła za przewodnictwem Stasia.

Od strony lasu wznosi się ponad ziemią wysoki wał, niby mur ochronny, porośły wrzosem, gdzieniegdzie paprocią i kępkami murawy; poniżej płynie rzeczka, na jej płaskiej, piaszczystej nizinie, na której w oddali widać skrzydła wiatraka z przeciwnej strony ciągnęły się łąny uprawnych pól pokrytych dojrzałym zbożem. Z lasu płynie wonne, orzeźwiające powietrze, przejęte zapachem żywicy i świeżością poranka, aż lekko i miło oddychać.

Las milczał, jakby pogrążony w sennem rozmarzeniu, kłosa zwieszały się nieruchomo ku ziemi.

Cała gromadka wkroczyła na wał i postępowała dalej jego brzegiem, rozmawiając wesoło, strącając z liści krople rosy, które staczały się jak kulki żywego srebra, gdy wtem Henryk zawołał:

— Patrzcie! słońce wschodzi.

Na skraju piaszczystej płaszczyny wystrzelił w górę świetlany promień, niby ognista rakietka, w ślad za nim zamigotał drugi, trzeci, dziesiąty, które zlewając się razem tworzyły świetlaną glorię ponad olbrzymią kulą, która w kształcie złocistego globu deszczywała się zwolna, wznosząc się majestatycznie i siejąc deszczem promieni, które odbite od czarnej krawędzi lasu, zdawały się zalewać płaszczyznę i pola porośłe zbożem. Równocześnie powiało dokoła ciepło, ożywe technienie, a pod tem technieniem wierzchołki drzew w lesie wydały szum przeciągły, któremu zawtórowały kłosa na łąnie. Zbudzone tym radosnym sygnałem ptaszki jeden za drugim wzbijały się z wesołym świegotem w górę, a wszystkie te szumy i odgłosy zdawały się zlewać w wielki hymn radości na cześć tej dobroczynnej siły, niesącej światło i życie.

— Czy to nie piękny, czy to nie wspaniały widok! — wołał Henryk.

Las ciągle szumił i kłosa szemrały.

Już też od strony wioski dolatywały odgłosy życia. Wypędzano owce i bydło na pastwisko, gromadki ludzi z sierpami zawieszonymi na ramionach, przesuwały się drogą, spiesząc do żniwa.

Młodzież z Polanki okrążyła część lasu i wróciwszy do drogi, szła dalej, kąpiąc się w promieniach słońca, nad słuchując świegotu ptaszek i szumów polnych, oddychając pełną piersią świeżem technieniem poranka. Wtem dziewczynki szepnęły coś pomiędzy sobą i nagle zabrzmiała pieśń dźwięczna, uroczysta: „Kiedy ranne wstają zorze.” Chłopcy odkryli głowy i wszyscy śpiewali chórem, a pieśń płynęła daleko po rosie, aż podjęta przez gromadki wieśniaków, spieszących do pracy, rozległa się echem po całym przestworzu.

Rzeźwo, gwarno, wesoło, spieszyło młode towarzystwo z wycieczki; przed domkami w Polance wyczekiwały mamy, ciocie, ojcowie powracających, a Julinka w swojej żalobnej sukience, biegła z okrzykiem radości, z rozpostartymi rękami naprzeciw Ludwini, aby się jej rzucić na szyję i otrzymać pocałunek na dzień dobry.

Pani Skalska oczekiwała również na ganku swojej gromadki, a otrzymawszy od każdego dzień dobry, zaprosiła wszystkich na śniadanie. Nie potrzeba mówić z jakim spożyto je apetytem. Joasia, która przymuszała się zwykle do jedzenia, dziś aż się wstydziła, pijąc już trzecią szklankę mleka; spróbowała nawet razowego chleba i znalazłszy go doskonałym, zjadła sporą kromkę! A przytem tak szczerą wesołość widną była u wszystkich.

— Doprawdy, ten dzień bardzo przyjemnie rozpoczął się na Polance. I dziwna rzecz jak to jedno idzie za drugim. Joasia lekka, swobodna i wesoła, tak była wyśmienicie usposobioną, że przez cały dzień pomagała w zajęciach Zosi i nie nudziła się przytem ani trochę. Rwały truskawki i maliny, Zosia próbowała nauczyć Joasię zbierać śmietankę, co się Warszawiance ogromnie zabawnem wydawało, aż po kilku chybionych próbach posiadała tę umiejętność i z taką powagą zabierała się do tego, że aż pobudzała Zosię do śmiechu.

Innego znów dnia wysłała je pani Skalska we dwie pod opieką doświadczonej kucharki Józefy, po zakupy do miasta. A to chodzenie po sklepach za towarami, po rynku dla kupienia słoików i garnków, bawiło Joasię ogromnie.

— Ach! zapomniałam — zawołała nagle. — Moja Józefo, proszę, jeszcze kupić dla mnie cukru do tych konfitur, które z truskawek usmażę z Zosią, żeby ojczulkowi zawieźć do Warszawy. Jak Józefo myśli, czy jedna głowa cukru wystarczy?

— Głowa cukru na konfitury do jednych truskawek! — zawołała Józefo ze zdziwieniem. — A czy to tatuś panią jest cukiernikiem?

— Mój ojciec cukiernikiem! Co też Józefo do głowy przychodzi? — zawołała burziona Joasia.

— Przepraszam panią, ale państwo sami nie przedliby przecież takiej masy konfitur z samych truskawek, choćby nawet najwięcej gości przychodziło.

Na szczęście w tę rozmowę wdała się Zosia i wyłomaczyła towarzyszce, że głowa cukru wystarczy do wszystkich konfitur i soków, jakie będą smażyć do Warszawy, a Joasia była bardzo zadowolona, że się rozstała z tą nieładną Józefą, która ojca jej wzięła za cukiernika, gdy więc ona poszła w inną stronę, panią pobiegły do sklepu załatwić sprawunki.

W sklepie utrzymywanym przez jakąś bardzo przyzwyczajoną panią, załatwiły się prędko, ale na nieszczęście niektórych przedmiotów zabrakło lub nie były w żądanych kolorach, a Zosia zadecydowała, że trzeba tego poszukać u żydów w sklepie. Pobiegła więc tam żywo, a Joasia trzymała się jej jak cień i dziwiła w duchu, jak ta Zosia umie być śmiałą i radzić sobie doskonale.

— Po czemu łokieć tej wstążki? — pytała Joasia, znalazłszy potrzebną sobie wstążeczkę.

— Po dwadzieścia sześć groszy — odpowiedział kupiec.

— To proszę odmierzyć sześć łokci, i sięgnęła do wstążeczki.

— Joasiu! — zawołała Zosia po francusku do swej towarzyszki — przepłaciłaś tę wstążeczkę; w takim jak ten sklepie trzeba się targować.

— Tak! — wyrzekła ze zdziwieniem Joasia — nie wiedziałam o tem... Kupując drugiej, potarguję się dobrze.

— A ta wstążeczka po czemu? — spytała kupca.

— Ta? po dwadzieścia cztery grosze.

— To jest za drogo, ja tyle nie dam — odpowiedziała z miną uroczystą.

— A ile daje panią? — zapytał grzecznie kupiec.

Joasia znalazła się w ogromnym kłopotcie, podniosła wybitający wzrok na Zosię, a w końcu wyrzekła po namyśle:

— Ośmnaście groszy.

— Nie mogę oddać ze stratą — wołał kupiec — taka słiczna wstążeczka, a co za gatunek; jak dla paniąki ustąpię po dwa grosze na łokciu.

Ale Joasia, która postanowiła się targować, odpowiedziała znowu:

— Nie dam tyle stanowczo.

— Więc po ile? niech usłyszę!

— Zosiu! — szepnęła Joasia w języku francuskim — czy można grosz jeszcze postąpić?

Zosia skinęła głową.

— Dam po dziewiętnaście groszy.

— Nie mogę! na sumienie nie mogę, wolę całkiem nie sprzedać — zaklinał się kupiec.

— Zosia znów przesłała znak oczami swojej towarzyszce, która zawołała rezolutnie:

— Jeżeli pan kupiec nie weźmie po dwadzieścia groszy, to nie kupię.

Równocześnie zaś w duszy uczuła podziw nad swoją własną odwagą i śmiałością.

— No, co mam robić? — zawołał z uśmiechem kupiec — muszę być stratny, żeby paniące wygodzić.

Odciał żądaną ilość łokci, zawiązał pakunek i pożegnał ukłonem dziewczątka.

Joasia wychodziła ze sklepu z uczuciem wielkiego tryumfu. Nie mogła się nacieszyć zaletami nabytego sprawunku i jego taniością.

— Nie, stanowczo, tak ładnej wstążeczki nie spodziewałam się tu dostać. Ale to rzeczywiście trzeba się umieć targować.

Dziewczęta biegły trotuarem ożywione.

— Wiesz o czem ja jeszcze zapomniałam? — zawołała Zosia z przestrachem prawie.

— Co takiego?

— Zabrać z księgarni Wieczory Florenckie dla Ludwini.

— To nie! — rzekła Joasia — pobiegnijmy szybko z powrotem.

Tak też uczyniły. Wbiegły do księgarni, zabrały książeczkę, którą Joasia poniosła, gdyż Zosia była już obciążona koszykiem i biegły żywo z powrotem, aby się nie narazić na zrzęczenie Józefy.

Dochodząc hotelu, w którego stajniach były umieszczone konie z Polanki, ujrzały z przeciwnej strony zdążającą Józefę, a za nią Pawła z całym brzemieniem sprawunków na barkach.

— A to się paniąki doskonale pilnowały — zawołała Józefo. — Paweł zaraz zakłada konie i jedziemy.

W niespełna pół godziny potem znalazły się z powrotem na Polance.

Tutaj zaczęły zdawać sprawę z załatwionych interesów, a Joasia opowiadała z wielkim ożywieniem jak się to musiała targować w sklepie, żeby nie przepłacić. Wszystkie paniąki chwaliły bardzo kolor wstążeczki i dziwiły się jej taniści. Joasia była bardzo z siebie zadowolona.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

PRESC: Ogrody watykańskie przez E. Jankowskiego (z ryc.) — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Złodziej palmowy (z ryc.) — Klewań (z ryc.) Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Dodatek: Trzej przyjaciele, wiersz przez Maryę S. — Przesady, komedyjka w jednym akcie. — Gołąbek Bożenny. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

TRZEJ PRZYJACIELE.

Ej miły Filusiu, ej, piesku mój mały,
Ja, ufam w twą wierność prawdziwą,
Ty w biedzie i w nędzy zostaniesz mi, stały,
Zachowasz mi przyjaźń życzliwą!
Osiołku, ty, do mnie swój siwy łeb tulisz,
I patrzysz łagodnie oczami,
Tak łasisz się ku mnie, tak ku mnie się czulisz,
Bo zgoda i przyjaźń jest z nami.
Ja wierzę dziś silnie swą duszą dziecięcą,
W twe dla mnie czułości dowody,
I cenię tę przyjaźń, choć przyjaźń zwierzęcą.
Lecz kiedyś, gdy przyjdzie wiek młody,
To serc ja szlachetnych poszukam wśród świata,
I swoje im oddam w ofierze,
Z kim przyjaźń prawdziwa, szlachetna mię zbrata,
To silnie i wiecznie i szczerze.

Marya S.



PRZESADY.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY.

PANI BRUDZESKA babunia.
ANDZIA |
LORCIA | jej wnuczki.
STAŚ, brat cioteczny panienek.
ZUZIA, służąca.

Rzecz dzieje się w mieście w domu babuni.

(Scena przedstawia pokój jadalny, drzwi w głębi. Na lewo stół i krzesła, na boku kredens, na nim filiżanki, miseczki i t. p. Na prawo okno).

SCENA I.

Andzia siedzi przy oknie zajęta robotą; Lorcja wbiega, trzymając w ręku ędźbło słomy.

LORCIA. Patrz-no tylko, Andziu!
ANDZIA. Co takiego? Co tam masz?
LORCIA. Słomka leżała we drzwiach na progu.
ANDZIA. Cóż w tem dziwnego?

Dodatek do N-ru 6 — 1898 r.

LORCIA. Nie wiesz, że to zapowiada gości? A gdy jest ktoś przy słomie, jak tu właśnie, to gościem tym będzie niezawodnie pan jakiś. Ciekawą jestem kto też przyjdzie?

ANDZIA. Dajże pokój tym niedorzecznym zabobonom.

LORCIA. Zobaczysz, że przepowiednia się sprawdzi. Przed chwilą upadło mi pióro na ziemię i ostrym końcem utkwilo w podłogę; to także zwiastuje gości, a podwójne znaki nigdy nie zawodzą.

ANDZIA. Wiesz przecie, że nie podzielam twych przesądów.

LORCIA. A jednak zobaczymy kto ma słuszność! *(słychać dzwonek)*. A co! nie mówiłam! Goście idą!

ANDZIA. Pewno jaki żebrak dzwoni.

SCENA II.

(Poprzedzające i Zuzia w barwnym ubraniu wiejskim trzyma coś ukrytego pod fartuchem).

ZUZIA. Ach moje drogie panienki! jakieś szczęście!

LORCIA I AŃDZIA. Co się stało? mów prędko!

ZUZIA. Niech się panienki znowu tak bardzo nie straszają!

LORCIA. Powiedzcie nam, powiedz Zuziu, co tam takiego?

ZUZIA (*dobywa z pod fartucha telegram*). A no, telegram przyszedł, pewnie kto zachorował albo umarł!

AŃDZIA. Dla czego zaraz najgorsze przypuszczasz? (*bierze telegram*). Wolę go sama rozpieczętować i przeczytać, bo jeśli broń Boże co złego, babcia mogłaby z przetrachu zachorować.

LORCIA. Tak, tak, przeczytajmy najpierw same. Pewna jestem, że musiało się co złego przytrafić. Pies wył w nocy, a to zawsze czyjąś śmierć zapowiada.

AŃDZIA. Znowu te przesady! (*czyta telegram*) „Staś dziś do was przyjeżdża o 5-tej. — Wuj Stefan.

LORCIA (*wesoło*). Staś, kochany kuzynek przyjeżdża! co za radość! (*do Ańdzi*). Widzisz, nie mówiłam, że będziemy mieli gości! że odwiedzi nas pan jakiś, a nasz Stach ma już lat 13, to go za pana uważać można. Chodź prędko, musimy babuni zaraz o jego przybyciu powiedzieć. Ale otóż i ona.

SCENA III.

Ciż sami i PANI BRUDZESKA.

PANI BRUDZESKA (*siwa staruszka w czepeczku*). Co tak u was głośno moje dzieci?

LORCIA. Cieszymy się, babciuniu, bo Staś przyjeżdża.

AŃDZIA. Wujek telegrafował, że Staś przyjedzie pociągiem przychodzącym o 5-tej (*podaje telegram*).

PANI BRUDZESKA. Lada chwila zatem chłopca oczekiwać można. Pewno będzie zziębnięty po drodze. Spieszcie się dzieci, przygotujcie podwieczorek.

AŃDZIA. Żeby tak jaką niespodziankę urządźć na jego powitanie?

LORCIA. Mam już w głowie projekt gotowy, byle tylko babunia zezwoliła.

PANI BRUDZESKA. Czemuż nie miałabym zezwolić, jeśli twój projekt nie przyczyni kosztu i kłopotu?

LORCIA. Nie przyczyni nic złego. Oto w pokoju Stasia przybijemy podkowę na progu.

PANI BRUDZESKA. Co?... podkowę, a to na co?

LORCIA. Czy babunia nie wie, że to szczęście przynosi.

PANI BRUDZESKA. Widzę, moje dziecko, że nie pozbędiesz się nigdy tych nieszczęsnych przesądów. Porzuć twój zamiar nedorzeczny, a zajmij się lepiej nakryciem stołu. Zuzia niech idzie po ciastka.

AŃDZIA (*dobywa z kredensu obrus i filiżanki*). Za ile babunia każe przynieść ciastek?

PANI BRUDZESKA. Będzie dosyć za dwa złote; nie wiem tylko czy mam tyle drobnych (*wyjmując portmonetkę, upuszcza pieniądze, które z brzękiem rozsypują się po podłodze*). Jakżem niezręczna! pobieraj Zuziu.

LORCIA (*podbiegając i wstrzymując Zuzię. Zaczekaj! wycze nogami po pieniądzech*).

PANI BRUDZESKA. Co ty wyprawiasz?

LORCIA. Alboż babunia nie wie, że kto nie podepcze pieniędzy, temu bieda wprędce dokuczy.

PANI BRUDZESKA (*tonem nagany*). Znowu twe nedorzeczności, Lorciu! (*do Zuzi która tymczasem pobierała pieniądze*). Czy masz wszystkie pieniądze?

ZUZIA. Do dwóch złotych brakuje jeszcze trzech groszy.

PANI BRUDZESKA. Która z was dziewczynki ma trzy grosze przy sobie, niech daje prędko, bo Staś może nadjechać.

AŃDZIA. Widziałam dzisiaj trzygrosznik w twoim woreczku, Lorciu.

LORCIA (*z niechęcią*). Tak... ale..

PANI BRUDZESKA. No, cóż znowu, podaj pieniądz, bo Zuzia czeka!

LORCIA. Ja tego właśnie pieniążka dać nie mogę, babuniu, znalazłam go, a znalezionych pieniędzy nie należy wydawać, bo one szczęście przynoszą.

PANI BRUDZESKA. Niepoprawną jesteś dziewczynką, moja Lorciu, zasługujesz, bym ci wcale ciastek nie dała (*słychać dzwonek*). Pewno Staś przyjechał. Zuziu, pomóż znieść rzeczy, a potem idź prędko na miasto!

SCENA IV.

Ciż sami i Staś w podróżnym ubraniu.

STAŚ. Jak się kochana babunia miewa (*całuje ją w rękę*); witam was moje drogie siostrzyczki, (*całuje każdą z kolei*).

PANI BRUDZESKA. Jaki duży chłopiec z siebie wyrósł, Stasiu, od czasu jak cię nie widziałam. A jakże to pocziwie z twojej strony, że przyjechałeś odwiedzić starą babcie.

STAŚ. Rodzice chcieli mi zrobić jakąś przyjemność za dobrą cenurę, prosiłem więc, żeby mi wolno było odwiedzić babunię i siostrzyczki. Dobry ojezulek zezwolił chętnie, tylko był w kłopotie pod czyją opieką mnie wyprawić; wytłumaczyłem mu jednak, że trzynastoletni chłopiec i do tego czwartoklasista sam sobą zaopiekować się potrafi, i jak babunia widzi, przyjechałem szczęśliwie. Cóż, czy rade mi jesteście, kuzyneczki?

LORCIA. Czyż możesz o tem wątpić, chociaż byłbyś lepiej zrobił, gdybyś nie dziś, lecz jutro wybrał się w drogę.

STAŚ. A to dla czego? Czy dziś przeszkadzam?

LORCIA. Nie, tylko dziś piątek, dzień fatalny, a w takie dni niebezpiecznie puszczać się w podróż.

PANI BRUDZESKA. Znowu występujesz ze swemi nedorzecznościami! (*do Stasia*). Siadaj Stasiu, pij kawę póki gorąca, pewnie musisz być głodny i zziębnięty. Zuzia zaraz przyniesie ciastka.

SCENA V.

Ciż sami, Zuzia podaje talerz z ciastkami i odchodzi.

PANI BRUDZESKA (*odebrawszy ciastka, przysuwa je bliżej Stasia*). Bierz i posil się, chłopcze.

STAŚ. Dziękuję babuni, ale nie wypada mi brać przed damami. (*Podaje ciastka babci, która odmawia, potem przysuwa je Lorcii*).

LORCIA. Nie mogę ciasta zapocząć, musiałabym siedm lat siedzieć na koszu.

STAŚ. Byłoby to nie lada zmartwienie wobec twoich lat jedenastu. Wybawię cię od tego niebezpieczeństwa. (*kraje sobie kawałek plaćka*).

PANI BRUDZESKA. Gdzie pomieścimy Stasia? może w tym małym narożnym pokoju?

STAŚ. Wszędzie, gdziekolwiek mnie babunia umieści, spać będę, zwłaszcza dziś po podróży.

LORCIA. Uważaj, co ci się przyśni, bo sen ten sprawdzi się niezawodnie.

STAŚ (*śmiejąc się*). Czy przywiązujesz do tego wiarę, Lorciu? To może, w wigilię ś. Andrzeja topisz cynę, spuszczasz jajka na wodę i urządzasz tym podobne wróżby.

LORCIA (*poważnie*). Znam lepsze jeszcze przepowiednie. W noc noworoczną pod poduszkę położyć trzeba woreczek maku, a cała przyszłość wyśni się jak na dłoni.

PANI BRUDZESKA. Moja Lorciu, już na samym wstępie częstujesz Stasia swemi przesądami!..

AŃDZIA. Już ciemno się robi, czy nie zapalić lampy? LORCIA (*zrywa się prędko*). Poczekaj, pójdę się tem zająć! (*Postępuje parę kroków i z krzykiem ręką zakrywa oczy*).

AŃDZIA. Co ci się stało?

LORCIA (*wskazuje na okno*). Księżyc na nowiu, a ja na niego przez okno spojrzalam.

AŃDZIA. Cóż w tem złego?

LORCIA. To wróży nieszczęście. Na księżyc tylko na otwartem powietrzu śmiało spoglądać można.

PANI BRUDZESKA (*surowo do Lorci*). Dość tych bredni Lorciu, niedorzecznościami twemi wyczerpałaś moje cierpliwość. (*Lorcja wychodzi*).

(*d. n.*)

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg)

Targ się rozpoczął; cygan żądał znacznej sumy, dowiedziawszy się jednak, że pan ten jest właścicielem miasteczka i wszystkich dokoła włości, spokorniał i przystał na ofiarowaną mu kwotę pieniędzy.

Z wdzięcznością całowałem ręce mego dobroczyńcy, przyrzekając, że będę mu wiernie służył do śmierci. Kazano mi sięść na konia przy jednym ze służących i w ten sposób pojechaliśmy dalej. Pan mój, zamożny bojar na Wołoszczyźnie, zamieszkiwał dobra swoje na pograniczu, gdzie bywał często narażony na napady ciągnących do Polski lub Rusi Tatarów, Zamek jego z basztami, na wyniosłości wśród lasów położony, otoczony wałem, rowami, z mostem zwodzonym miał pozór małej fortecy. Dla obrony od nieprzyjaciela bojar utrzymywał milicję nadworną, obok licznej służby, w najrozmaitszy sposób z turecka, tatarska, wołoska, a nawet z polska przybranej.

Gdyśmy przed zamek zajechali, wyszedł na nasze spotkanie marszałek dworu, poważny, z siwą brodą starzec, któremu pan mój oddał mnie w opiekę, z rozkazem, że przeznacza mnie do swoich osobistych usług. Był to ze stony bojara dowód niemałej łaski, którą zawdzię-

czałem może współczuciu, jakie obudziło w nim moje opowiadanie i przypuszczenie, że pochodzę ze szlacheckiej węgierskiej rodziny. Służba moja ograniczała się na tem, abym był od rana do wieczora na pokojach pańskich, towarzyszył bojarowi we wszystkich wycieczkach i w każdej chwili był gotowym do posyłki, czy to listu pilnego, czy cennego podarku. Było nas kilku takich pokojowców na dworze mego pana, ale w niedługim czasie posłuszeństwem, zręcznością, i uwagą, zyskałem sobie szczególne jego względy i zaufanie. Zjednałem też sobie serce miejscowego kapelana, który, widząc chęć moją do nauki, nauczył mnie czytać, pisać, a potem udzielał książek, które w chwilach od służby wolnych cheiwie czytywałem. Tak ubiegły mi całe cztery lata na dworze bojara. Jakże wydawały się mi szczęśliwe w porównaniu, z latami spędzonymi w obozie cygańskim, gdzie tyle doznałem krzywd i prześladowań, zwłaszcza od chwili śmierci mojej dobrej Bogny. Nie przykrzyły mi się bynajmniej zajęcia pokojowca, czasami tylko napadała mnie tęsknota za nieznanym mi domem rodzicielskim, za pieśczętą matki, której niewyraźne wspomnienie zachowałem w duszy. Nieraz też na widok kobiety pieśczącej dzieci swoje, płakałem gorzko ukryty w kącie, choć mimo tego nie przestawałem dziękować Najświętszej Pannie za zmianę zaszłą w mem życiu.

Nagle niby grom z nieba, rozeszła się wieść o naciągającej w nasze strony hordzie tatarskiej. Nie pierwszy to już raz lud okoliczny miał paść ofiarą strasznej tej klęski, jaką jest napad Tatarów, którzy porywają dobytek cały i uprowadzają jeńców w ciężką niewolę, czyli jasyr.

Chcąc uchronić swych poddanych od tak wielkiego nieszczęścia, pan mój zebrał hufiec walecznego rycerstwa i własnych pacholków i wyszedł na spotkanie wroga. Nazbyt młody jeszcze, i nieświadomy użycia broni, miałem pozostać w domu; póty wszakże błagałem pana mego, aż mi pozwolił towarzyszyć sobie w lekkiej zbroi na małym koniku.

W odległości zaledwie kilku mil od zamku, ujrzelśmy cinę tatarską, zalegającą niby szarańcza drogi i okoliczne pola. Nie znałem jeszcze czem jest podobna walka, więc śmiało wysunąłem się naprzód tuż obok samego bojara, którego twarz zasępiła się ponuro na widok licznych zastępów nieprzyjaciół, a małej tylko garstki własnego rycerstwa.

Mimo to ze spokojem doświadczonego wodza wydał potrzebne rozkazy a przeżegnawszy nas krzyżem świętym zawołał!

— W Imię Boże naprzód!

Niebawem, straszny rozpoczął się bój. Tatarzy przyjęli nas dzikim okrzykiem i tysiącami ostrych strzał. Ranni i zabici padali w około. Nieprzyjaciel jednak zrazu ponosząc cięższe straty, starał się otoczyć nas zewsząd, by tym łatwiej zgnębić. Gdy to spostrzegło rycerstwo nasze, wnet w najwyższym popłochu rzuciło się do ucieczki. Daremnie pan mój usiłował nawrócić zbiegów, daremnie choć opuszczony od swoich dokazywał sam cudów męstwa. Celnie wymierzony strzał powalił go z konia. Choć ogłuszony straszną wrzawą, i przejęty okropnym widokiem bitwy, zostawałem wciąż przy jego boku. Spiesznie więc zeskoczyłem z mego wierzchowca, by mu dać jakąkolwiek

